



Kiedy Jerzy Płonka zdobywa górę, nie widzi panoramy, tylko wielką ciemną plamę. Po co się więc wspina? Dla towarzystwa. Bez słów „Jurek, uważaj, odejdz od krawędzi”, mógłby zapomnieć o Koronie Europy.

jak masz spadać, to leć w prawo

Kiedy patrzę wprost, jesteś jak za mgłą. Gdy spojrzę kątem oka i mocno się wysilę, widzę, że masz ciemne ubranie. Ale nie wiem, czy jesteś brzydka, czy ładna, czy właśnie się uśmiechasz, czy spoglądasz na mnie z morderczym błyskiem w oku – mówi Jerzy Płonka, 28-letni alpinista, który właśnie zdobywa Koronę Europy (najwyższe szczyty wszystkich europejskich państw). Ze śmiechem podkreśla, że realizowanie pasji przychodzi mu łatwo, bo na swojej drodze nie widzi przeszkód. Żadnych. Jeśli w tym roku uda mu się wejść na cztery ostatnie szczyty, będzie pierwszym niewidomym na świecie, który dokonał takiego wyczynu. Zdobędzie Koronę Europy.

Kiedy stanie na szczycie, zamiast sycić oczy obłądnymi panoramami, musi zaufać opowieściom swoich towarzyszy: że tu w dole płynie strumień, tam wznosi się ośnieżone pasmo, a jeszcze dalej widać majestatyczny lodowiec. – Widoki mnie nie interesują! – śmieje się Jerzy. A śmieje się często, długo i zaraźliwie. No dobrze, ale po co chodzi po górach, jeśli nie dla widoków?

OD RAZU MONT BLANC?

Dwupółletnie dziecko zaczyna już czuć swoją odrębność. Ma poczucie niezależności, potrafi ze złości rzucić zabawką o podłogę. Szybko i pewnie stawia kroki. Niecierpliwi się, gdy rodzice chcą we wszystkim je wyreczać – w końcu jest samodzielne! Taki był Jurek. Normalny dzieciak – urwis, ale kochany. Dziecięcy świat zdemolowała diagnoza – postępująca degeneracja siatkówki oraz brak pigmentu w plamce żółtej.

Wzrok tracił stopniowo. Jeszcze w podstawówce ganiał za piłką. Po harcach na rodzinnym, krakowskim blokowisku rodzice zaganiali go do lekcji. Im bardziej litery się rozmazywały, tym grubsze stawały się szkła okularów. Potem już nawet lupa nie pomagała. W gimnazjum Jurek zaczął więc używać syntetyzatorów mowy i programów głośno mówiących. Piętnaste urodziny obchodził w ciemnościach. – Miałem wybór. Albo siedzieć w domu i narzekać na los, tysięczny raz zadając sobie idiotyczne pytanie „dlaczego ja?”, albo się czymś zająć – wspomina Jurek.



■ Ekipa, która wspiniała się z Jerzym Płonką w Alpach Francuskich. Na sąsiedniej stronie po lewej: Jerzy tuż po skoku do kanionu Karpuz, po prawej wspinaczka za pomocą liny poręczowej.

Wybiera drugie rozwiązanie. Nie przeszkadza mu, że widzi zaledwie 5 proc. tego, co zdrowy człowiek. W szkole żeglarskiej daje z siebie wszystko. Potem przerzuca się na wiosłowanie i oczywiście robi to w swoim stylu, czyli wy-czynowo. A gdy machanie wiosłem mu się znudzi, zaczyna biegać maratony. Wziął udział w trzynastu. Siedzenie w miejscu przyprawia go o nieznośny ból egzystencjalny, więc jeszcze sobie dokłada zajęć: pływanie i kolarstwo.

W 2009 roku Jerzy po raz pierwszy jedzie w góry. I znowu robi to z rozmachem – od razu wybiera się na najwyższy szczyt Europy, Mont Blanc, bagatela 4810 m n.p.m.

PORA NA DACH EUROPY

Na Mont Blanc postanowił wejść, bo się zdenerwował. Tak, wkurzyła go śmierć przyjaciela, księdza Stanisława Kracika, który mimo ciężkiej choroby, do końca pozostał aktywny: chodził po górach, pływał, jeździł na desce. Był dla niego wzorem. Z tej złości nie poszedł na pogrzeb, ale za to postanowił z przyjacielem Michałem Myszą, że na cześć księdza Kracika wejdą na Dach Europy. Od momentu podjęcia decyzji do wyjazdu minęło 48 godzin. Czy w tym czasie myślał, co się może stać w drodze na najwyższą górę Europy? Że można zapaść na chorobę wysokościową: głowa wtedy pęka, mięśnie bołą, nie można niczego prze-łknąć, twarz i ręce puchną, męczą nudności i bezsenność. Że pogoda zmienia się tam w ciągu kilku sekund: dopiero co świeciło słońce, a teraz nad głowami gromadzą się lenticulaire – ciemne, groźne cumulusy, a wraz z nimi pojawiają się grzmoty, błyskawice i mgła. A jeszcze niech się zerwie fohn, alpejski halny i temperatura spadnie kilkana-ście stopni poniżej zera. Na dodatek trzeba przejść owiany złą sławą Grand Couloir, nieprzypadkowo zwany Kulua-rem Śmierci. To żleb, z którego co rusz obrywają się ka-mienie i schodzą lawiny śniegu. Taki niepozorny, zaledwie

100 metrów szerokości, a staty- stycznie ginie na nim najwięcej osób. Jerzy tradycyjnie nie widzi przeszkód i z przyjaciółmi staje na szczycie. Ogarnia go uczucie, którego nie jest w stanie odpo- wiednio wyrazić żaden z około 7 tysięcy języków istniejących na naszej planecie. To uczucie bę- dzie wracać – zgodnie z planem 46 razy.

KOMPLETOWANIE SZCZYTÓW

Kolega opowiedział mu przy piwie o akcji „National three peaks challenge”. Grupa zatra- ceńców wymyśliła sobie, że w ciągu 24 godzin zdobędzie 3 najwyższe szczyty Anglii, Szko- cji i Walii. Jerzy, sącząc piwo, rzucił: „Eee, to ma być wyzwa-

nie?! Jeśli w dobrym czasie wejdę na Babią Górę, to obie- cuję, że w rok zdobędę Koronę Europy”. Rzeczywiście, wejście na najwyższy szczyt Beskidów Zachodnich, a potem zejście, zajęło mu raptem 2,5 godziny.

Klamka zapadła. Jurek pakuje się na pierwszą wyprawę – do Irlandii. Niedługo stanie na Carrauntoohil, górze ni- skiej, ale budzącej respekt. Potem będą kolejne szczyty: skalisty Korab w Macedonii, do którego prowadzi ścieżka wśród zielonych łąk. Kusi, żeby z niej zbroczyć i sięgnąć po te wszystkie smakołyki: maliny, poziomki i jagody. Wejście na Triglav, najwyższy szczyt Słowenii i Alp Julijskich, już nie jest takie sielankowe. Plecak nieznośnie cięży, gdy pod- chodzą do schroniska „Triglavski dom na Kredarici”, spocone ręce ślizgają się na metalowych poręczach, via ferraty zdają się nie mieć końca, a oni sił. Podobnie będzie podczas wejścia na Grossglockner, Zugspitze, Musale, Mulhacén, Pic de Coma Pedrosa i wiele innych szczytów.

Podczas górskich eskapad poczuje też strach – ten pierwotny, o siebie. Gdy wchodzili na Kebnekaise, w Laponii, najwyższy szczyt Szwecji, świeciło słońce.

– Jakie ono było zdradzieckie. Bo temperatura cały czas spadała. Nie pamiętam już, czy było minus 15, czy minus 20 stopni, wychłodziłem się, odmroziłem sobie twarz. W schronie czekałem na ratowników, którzy pojawili się dopiero po 26 godzinach. Do szczytu zostało zaledwie 100 metrów. Tylko i aż 100 metrów. Kusiło, żeby zaryzykować. Chęć pozostania wśród żywych zwyciężyła – wspomina.

Nie udało się zakończyć projektu w ciągu roku. Pro- blemy logistyczne, brak funduszy, a czasem towarzystwa na wyjazd. Kompletowanie szczytów trwa więc już piąty rok, co Jerzego specjalnie nie zasmuca. Działa, więc żyje. Ludzie – klucz do sukcesu wypraw Jerzego. Jak podkreśla, bez przyjaciół i znajomych pewnie nie wyszedłby nawet na szlak. To oni są jego oczami. W górach niskich





w charakterze przewodnika wystarczy jedna osoba, która idzie przodem i wydaje komendy: skręć w lewo; pochyl się; przygotuj się na podejście; uwaga – na wysokości kolan powalone drzewo; o, gałęzie z prawej! W górach wysokich, jak w Alpach, zazwyczaj idzie w towarzystwie 2–3 osób. Z pierwszą trzyma wspólny kijek. I nasłuchuje komend.

Tak było podczas wspinaczki na austriacki Grossglockner, na który prowadzi bardzo stroma i wąska grań. Tą samą drogą schodzi się z wierzchołka, łatwo więc sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy dochodzi do zatoru na trasie. Smaczkowi dodaje fakt, że pod nogami rozciąga się dwukilometrowa przepaść. To wtedy usłyszał polecenie: „Stary, jak masz spadać, to leć na prawo, po lewej jest przepaść”. Często bywa tak, że jeśli znajomi pamiętają o jego niepełnosprawności, to przez pierwsze dwie godziny marszu. Potem zapominają, czego rezultatem są tragicomiczne sytuacje, o których lepiej, by nie dowiedzieli się jego rodzice: „Jurek, uważaj. Jesteś na mostku bez poręczy. Odejdź od krawędzi. Szybko, szybko”.

Czy się boi? – Niektórzy myślą, że wraz ze wzrokiem straciłem część mózgu odpowiedzialną za odczuwanie strachu. Bzdura. Boję się jak każdy. Ale czy to znaczy, że mam usiąść na grani i się rozplakać? Idę do przodu, choć góry nauczyły mnie, żeby nie robić tego za wszelką cenę.

W DOBRYM TOWARZYSTWIE

Jak wynika z jego prywatnych statystyk, najczęściej słyszy dwa pytania: skąd ma to wszystko pieniądze. Każdy pochłania kilka tysięcy złotych. – Pensja masażysty w prywatnej krakowskiej klinice nie wystarcza na takie fanaberie – zaznacza. Projekt zdobycia Korony Europy rozpoczął od wzięcia pożyczki w banku – 45 tys. złotych. Spłaca ją do dziś. Mniej więcej w tamtym czasie założył Stowarzyszenie „Nie widzę przeszkód”, któremu prezesuje. W ramach stowarzyszenia, wraz z grupą przyjaciół i znajomych, daje upust swojej niespożytej energii: biegi, wspinaczka, rowery, żagle, nurkowanie, a nawet piłka nożna dla niewidomych. Pozyskują też sponsorów, których z każdym rokiem jest więcej i którzy widząc efekty ich działalności, stają się coraz bardziej hojni. Na tyle, że z darowizn można kupić bilety lotnicze i sprzęt górski.

Po co to robi? Nieraz zadawał sobie to pytanie. Na przykład, gdy w drodze na szwajcarski Dufourspitze umierał ze strachu, stąpając po grani o szerokości paczki papierosów. Albo gdy po raz kolejny przewrócił się na wystającym kamieniu. Gdy zaczął deszcz i wiatr, a gałęzie smagały go po twarzy. – Oczywiście mógłbym pójść w patetyczny ton i wymienić te wszystkie głupoty: że słońce, że zapach lasu, że wiatr. Ale to nieprawda. W góry chodzę dla ludzi. Nie podjąłbym się tego wyzwania, gdyby nie to, że dzięki niemu mam okazję przebywać w dobrym towarzystwie. Poza tym w górach nie ma tych wszystkich przyziemnych problemów: zrobić obiad, posprzątać, pójść do

pracy. Mogę siąść na połoninie albo grani i zanucić piosenkę KSU: „Patrząc z góry wokół / Świat wydaje się lepszy / Tam na dole zostało wszystko / Wszystko to, co cię męczy”.

TYLKO NIE Z BIAŁĄ LASKĄ

Przy pierwszym spotkaniu z Jurkiem można w ogóle się nie zorientować, że jest niewidomy. Przyjdzie punktualnie w umówione miejsce, oczywiście bez białej laski, do której stosunek ma, oględnie mówiąc, negatywny.

– Czy ja jestem kaleką, żeby chodzić z laską? Jeśli kiedykolwiek wezmę ją do ręki, to będzie oznaczać, że straciłem energię i chęć do życia. Ostatnio startowałem w „Biegu Rzeźnika”. Organizatorzy zasugerowali, żebym założył kask. A ja im prostu z mostu powiedziałem: „Panie, puknijcie się w czoło”. Może powinienem biegać w zbroi, co? – unosi się. Za chwilę przyznaje: – Jasne, gdybym poruszał się po mieście z laską, może byłoby mi łatwiej. Może, gdy jest ciemno i pada deszcz, nie wracałbym trzy razy dłużej do domu. Może ludzie widzieliby, że jestem niewidomy, więc na przykład w autobusie nie mówiłbym do odwróconych pleców czy do słupa ze słuchawkami w uszach. Albo na niewinne pytanie o numer tramwaju nie słyszałbym: „Przecież jest napisane na tabliczce. Ślepy jesteś?”. Jestem ślepy, ale z laską chodzić nie będę.

Pęd do samodzielności zaszczepili w nim rodzice. Nigdy nie dali mu odczuć, że jest inny i wymagali od niego tyle samo, co od rodzeństwa.

– Wręcz wymuszali na mnie samodzielność. Kiedy miałem ochotę coś zjeść, a nie było tego w domu, mówili, żebym poszedł do sklepu. Na pytanie, gdzie on się znajduje, niezmiennie odpowiadali: „Dziecko, na rogu ulicy. Co ty, nie widzisz, ślepy jesteś?”.

Ośrodek szkolno-wychowawczy, w którym przebywał 3 lata, utwierdził go w przekonaniu, że system jest zły. Zły, bo osób z niepełnosprawnością nie uczy się funkcjonowania w społeczeństwie. – Zamyka się nas w ośrodkach – takich mikroświatach, gdzie jest szkoła i internat, lekarz, nawet dentysta. Okazji do wychodzenia jest niewiele. Opiekunowie uważają, że wystarczy, jak poznamy drogę do dworca, rynku czy szpitala. Nie wystarczy. Chcielibyśmy też wiedzieć, jak trafić do pubu, kebaba czy na dyskotekę. Bo my też chcemy czasem zabalować.

Humor poprawia Jerzemu pytanie o plany. Uwielbia je snuć. Teraz robi to ze zdwojoną siłą, bo wkrótce zakończy projekt zdobycia Korony Europy – zostały mu zaledwie cztery szczyty. Potem zamierza zająć się kolarstwem i startować w zawodach. Zapewne zrobi to po swojemu – nie widząc żadnych przeszkód.